

Jebane lęki, dzięki wcale ich nie chcę
 Rozmawiam z demonami, złapały mnie w swoje kleszcze
 Mam to jak Chada i Bezczel, a jestem sporo młodszy
 I tylko ten jeden Bóg wie jak to się tu dla mnie skończy
 Zaklęcia, voodoo, klątwy to czarna magia
 Która wciąż mi nie pozwala wydrapać się z tego bagna
 To prawda, to szczerą prawdą, jestem na smyczy
 I myślę tak o tym wszystkim gdy siedzę po ciemku w ciszy
 Choć wewnętrzny głos krzyczy, ja wcale nie słucham
 Znowu wlewam zimną wódkę, którą poprawiam do bucha
 Już chuj nawet w te płuca, mam swoje alter ego
 Które każe wciągać kreski i wciąż namawia do złego
 Mało tego, siedzę z kolegą i jest mi dobrze
 I tak czuję, że ten melanz zakończy chyba mój pogrzeb
 Tylu ludziom pomogłem, powiedz jak sobie pomóc
 Najgorsze, że te lęki najczęściej nachodzą w domu

Wrażenie mam jakbym leciał w otchłań ciemności
 Zatracam z rzeczywistym światem
 Nie potrafię się wyrwać ze szponów niemocy
 W głowie głos, nie chcę tak skończyć Boże
 Z góry umysł, z góry myśli, będę walczył do utraty sił
 Nadal nie mogę usnąć, ciężar myśli mnie przygniata
 Brakuje tchu z nut, co za koszmar
 Zimnego potu krople spływają mi po skroniach

Dziś dokucza mi niepokój i nie dostrzegam słońca
 I choć nie ma tu nikogo obok czuję jakby ktoś mnie trącał
 Znowu nie śpię, patrzę w sufit, bracie widzę tylko ciemność
 Pieprzone demony znowu straszą mnie od wewnątrz
 Ściszam to, wciskam stop, zewsząd zagrożenie czuję
 Boże drogi, boję się, że to mnie w końcu zdominuje
 Stoję na rozstaju dróg i czekam co się stanie
 A do tego jeszcze nie opuszcza mnie to skrępowanie
 Chory stan, nie ma co, w dali coś tam szepcze miasto
 Biorę łyk powietrza lecz i tak nie mogę zasnąć
 Nic nie jestem w stanie zrobić czuję ten cholerny dramat
 Nie pomogą tu żadne półśrodki, waleriana
 Dręcę się, czuję lęk, wszystko źle oceniam
 Chociaż sytuacja nie ma wcale znamion zagrożenia to
 Pocę się, mam już dość, męcę się człowieku
 A na domiar złego drażnią mnie zakłócenia oddechu

Wrażenie mam jakbym leciał w otchłań ciemności
 Zatracam z rzeczywistym światem
 Nie potrafię się wyrwać ze szponów niemocy
 W głowie głos, nie chcę tak skończyć Boże
 Z góry umysł, z góry myśli, będę walczył do utraty sił
 Nadal nie mogę usnąć, ciężar myśli mnie przygniata
 Brakuje tchu z nut, co za koszmar
 Zimnego potu krople spływają mi po skroniach

Zazwyczaj kołyszą do snu, ale nie dzisiaj na pewno
 Na koniec zawsze zostają one dwie, cisza i ciemności
 Czy to jeszcze noc, czy to już prawie dzień
 Czy to kurwa rzeczywistość, czy tylko na jawie sen
 David Lynch, nerwy w klin, czy to ja jeszcze wciąż

Nic tak jak paranoja nie potrafi w kleszcze wziąć
Roznosi się ciche echo, w krętych agonii ulicach
Demony są za blisko żeby teraz o nich pisać
Anioł Stróż dzisiaj o mnie nie pamięta
Chociaż składam do modlitwy dłonie i pokornie klękam
Noc nie daje snu znów, cierpię na insomnie
W lękach martwej ciszy krzyk, który tak potwornie nęka
Błądzą po swoim umyśle, słyszę tam głosy
Moje życie to wielki kawałek gówna, mam dosyć
Mój wewnętrzny głos prosi – weź o siebie zadbaj
Ale to wciąż trudniej zrobić niż powiedzieć, prawda

Wrażenie mam jakbym leciał w otchłani ciemności
Zatracam z rzeczywistym światem
Nie potrafię się wyrwać ze szponów niemocy
W głowie głos, nie chcę tak skończyć Boże
Z góry umysł, z góry myśli, będę walczył do utraty sił
Nadal nie mogę usnąć, ciężar myśli mnie przygniata
Brakuje tchu z nut, co za koszmar
Zimnego potu krople spływają mi po skroniach